

Autor: **Barbara Jagas**

Tytuł: **Zakopane – zakopane**
takie tam bajdurzenie



Zamiast wstępu

Trudno wyrazić uczucie do miejsca, w którym bywało się 60 lat z rzędu. Bo tak to jest w moim przypadku. Niestety, jestem już tak stara, ale i mam miłość, która nie gaśnie wraz z czasem.

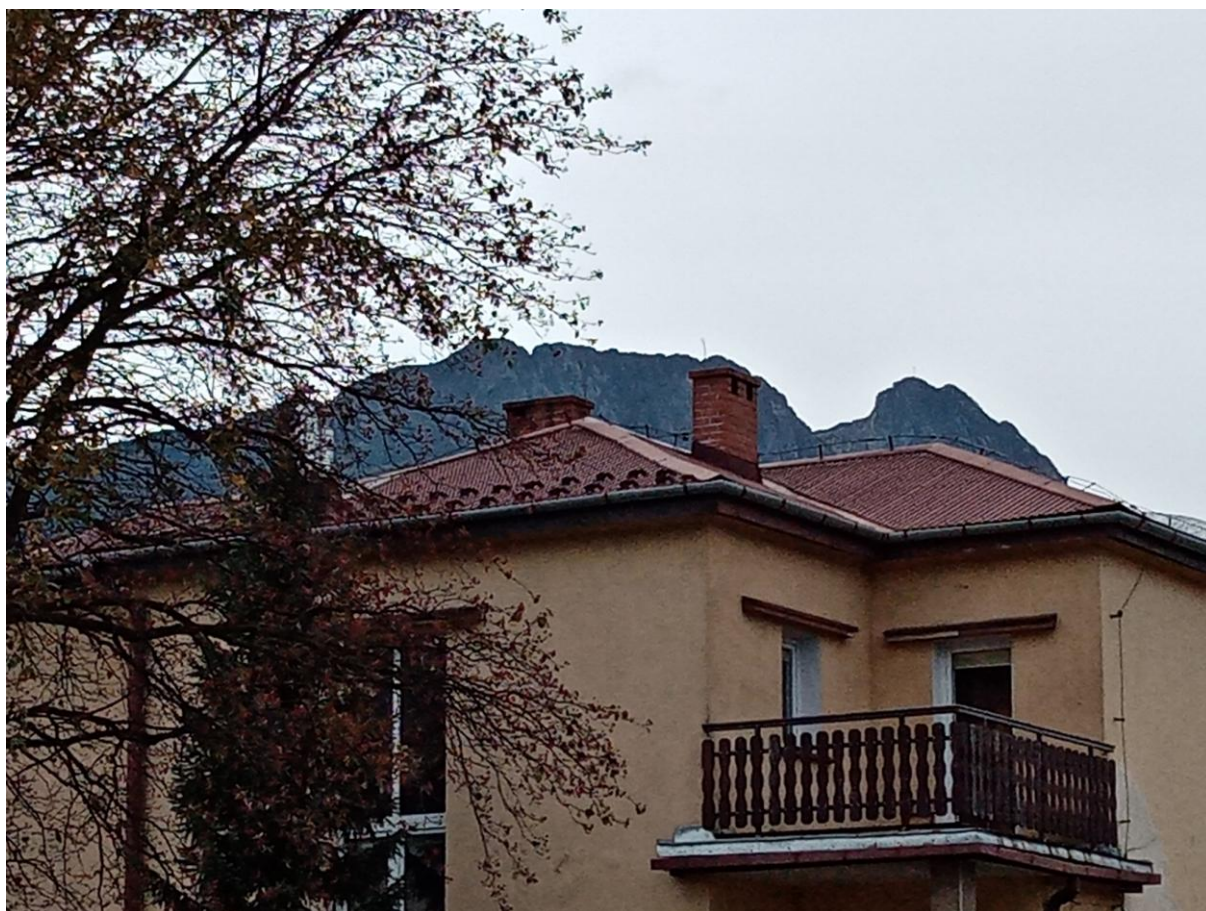
Postanowiłam więc podzielić się nią z młodszym pokoleniem, a także starszym – które być może to uczucie-odczucie podziela. Ponieważ dla nas, dzieci Peerełu, Zakopane było czymś więcej niż miejscem trendy...







Witkacy



Właściwie nigdy nie lubiłam Witkacego, kojarzył mi się z kimś nienormalnym, jeśli w ogóle artysta może być normalny. A jego prace z chaosem, nadpobudliwością i demonizmem. Jako nastolatka, czy nawet studentka, snobowałam się, rzecz jasna, na styczność z jego twórczością, kupowałam o nim książki, czytałam wydane listy, próbowałam zrozumieć jego utwory, szukając w gruncie rzeczy nie tyle pięknego języka, poetyckich uniesień, co opisu ekstremalnych przeżyć, jakie miał pod wpływem peyotlu, jaki zażywał, czy meskaliny, które – jak wiemy – zmieniają świadomość. Takie rzeczy bardzo mnie interesowały w tamtych czasach, i na równi z Witkacym traktowałam na przykład Huxleya i jego doświadczenia, oraz ich opisywanie, w czym pomogły mi studia, bo na którymś z przedmiotów był cytowany – zresztą

jeden i drugi, albowiem moje studia pedagogiczne były wszechstronne i zawierały informacje z różnych dziedzin, w dużej mierze z tzw. kultury i sztuki. Nie wiem dlaczego, tak były ignorowane w świadomości ogólnej, i kojarzone z jakąś tandetną pensją dla prowincjonalnych pań, które najwyżej będą po tym uczyć dzieci. Tymczasem pedagogika dawała ogólne pojęcie o świecie, otwierając umysł, niestety niczego konkretnego nie ucząc, w sensie - nie przygotowywała do żadnego zawodu. Zresztą ludzie, którzy ją kończyli byli też nietuzinkowi, przeważnie spadły z innych kierunków, oraz uczelni, taka zbieranina, a naprawdę poszukiwacze szczęścia, marzyciele, stąd nazywano nas "turystami". I moje studia, co zawdzięczam pani dziekan ś.p. prof. Annie Przeclawskiej, która zaakceptowała ten niesamowity program, który wypełniali tacy wykładowcy jak dr Stanisław Ruciński – spec od wychowania nieautorytarnego, ale co za tym stało... – cała filozofia i psychiatria!, mój promotor, Henryk Depta – też promotor od pracy magisterskiej nt. kobiety samotnej w filmie współczesnym, gdzie obok dzieł polskich reżyserów zajęłam się analizą twórcy filmu "Tam gdzie rosną poziomki", a także wielu innych – prof. Wojnarowa, znawczyni sztuki, spec od psychologii rozwojowej i psychologii społecznej razem z niezapomnianym dr hab. Januszem Grzelakiem i właśnie nasza kochana pani dziekan Przeclawska, dzięki której poznałam dzieła współczesnych humanistów, takich jak Malinowski, Znaniecki, Huzinga, Yung, Fromm. Na wysokim poziomie była też filozofia, choć jednak skupiająca się na racjonalnym podejściu do życia, dlatego potem tak bardzo interesowało mnie magiczne, a także antropologia, w tych dziedzinach byłam najlepszą studentką. Pamiętam jedno, ja ze swoją duszą niby socjalisty, marząca o świecie, gdzie jeden człowiek będzie równy drugiemu, czyli utopistka,

zaadoptowałam się na tym wydziale od razu, i moje marzenia o studiowaniu psychologii poszły w ką. Bo? Zafascynowałam się studiami na pedagogice, którą przecież wybierałam początkowo jako coś pośredniego, drogę do psychologii. Dzięki tamtejszym wykładowcom, m.in. Annie Przeclawskiej, która uczyła nas, że każdą kulturę należy szanować i nie starać się patrzeć na nią z naszej perspektywy, próbując ją poprawiać na własną modłę, mam inne zdanie nt. świata niż większość ludzi i na przykład nie odnajduję się w sporze społecznym nt. Innego, nawet tak ciekawe programy jak "Kobieta na krańcu świata", czy też audycje pana Cejrowskiego, choć pełne ważkich informacji, powodują u mnie sprzeciw, ze względu na owo protekcyjne traktowanie każdej innej kultury, która nie jest europejska.

Nie do końca też odnalazłam się w zawodzie dziennikarki, ponieważ myślałam, że nasza rola polega na tłumaczeniu świata, a tak nie jest; byle gazeta ma swoją linię polityczną i trzeba do niej nagiąć treść artykułu.

Witkacego próbowałam bliżej poznać dzięki wycieczkom do teatru jego imienia w Zakopanem, gdzie któregoś wieczoru zaprowadził mnie A. I owszem, była magia, ale raczej w sposobie funkcjonowania tego miejsca. Otóż, tam się przychodziło jak na przyjęcie, nie tyle obowiązywał paradny strój, bo tego nie wymagano od turystów, choć niektóre panie były w sukniach do podłogi, a panowie w smokingach, ile nastrój – podniosły. Już na wejściu witali cię aktorzy w pięknych strojach, częstując kieliszkiem wina lub zapraszając na przekąskę obok. A potem serwowano różne strachy, gasząc światło, hucząc, tupiąc i dzwoniąc, niczym duchy albo wyprowadzając cię z sali, gdzie na korytarzu kogoś łapano i zabierano nie wiadomo gdzie. W końcu pojawiał się jakiś niby nieboszczyk, niesiony przez artystów, który na oczach wszystkich ożywał, a potem okazywało się, że to był jeden z

gości. No tak go zahipnotyzowano. W teatrze bowiem każdy był aktorem, kto do niego wszedł i brał udział w sztuce. A nie były to tylko psychodeliczne utwory Witkacego, ale spokojniejsze np. Marlowe, a ("Doktor Faustus") czy Millera – jak "Czarownica z Salem", ale odpowiednio podkreślone, tak, że człowiek był na wyżynach różnych emocji. Ja w każdym razie wychodziłam stamtąd mokra. A potem, w przyteatralnej kawiarni, gdzie zawsze chciał iść mój partner, obsługujący nas aktorzy, którzy wchodzili w rolę niby-kelnerów, albo raczej gospodarzy tego miejsca, pytali, jak nam się podobał spektakl, chcieli o tym dyskutować. Nie wiedziałam co mówić, miałam w duszy zamęt. Następnie, aby tego było mało, wychodząc z tego nadzwyczajnego miejsca, gdzie szło się krętą drogą, wzdłuż której wisały dzieła Witkacego, człowiek dodatkowo lękał się, że jedna z tych zjaw może się stać rzeczywistością i ściągnąć cię z tej ścieżki, a potem wciągnąć do świata demonów.

Dlatego nigdy nie chodziłam tam sama, tylko z A. Raz tylko spróbowałam, choć byłam z koleżanką, ale M. nie chciało się iść, była zmęczona po ciężkim dniu, wytrzymałam do połowy sztuki, musiałam wyjść, dopadł mnie lęk, zupełnie niewyjaśniony. Wiadomo, działał Witkacy, jego fluidy. Być może w tej postaci było jednak coś demonicznego, o czym mówią wszyscy, bo jak nawet wiemy – skończył strasznie, jakby wciągnięty przez diabła, piekło. Ja uważam, że niestety poddał się Złej Energii.

Bo z energiami to jest tak – przyciągasz takie, które w tobie górują. Można się też do nich przykleić, wyężdżając w tym kierunku uwagę. Dlatego z reguły nie oglądam tzw. dreszczowców, filmów, gdzie jest dużo zabijania itp., nie chcę wchodzić w te światy, wolę jaśniejsze. Mroczne klimaty to nie moja bajka. Chociaż sam świat duchowy - tak. I jest on związany z Zakopanem. Tam zawsze czuję się połączona z

niewidzialnym. Zresztą miałam raz bardzo niezwykłą przygodę Tam.

Pewnego razu wybrałam się z A. do Zakopanego na narty. Nie po raz pierwszy zresztą w życiu. Z A. doskonale się rozumieliśmy, choć była to dziwna znajomość, która polegała na tym, że uwielbialiśmy razem wyjeżdżać do Zakopca. A poza nim każde z nas miało swoje życie i w Warszawie spotykaliśmy się raczej rzadko. I tak pewnego razu szukając jakiejś interesującej kwatery trafiliśmy na ulicę Makuszyńskiego. Stoją tam przedwojenne wille, niektóre odnowione, z nowymi elementami, za sprawą których czasem trudno rozpoznać z jakiej są epoki. Jedna z nich, przybrana miedzianymi złoceniami, wydała nam się interesującym miejscem do zatrzymania się. Nie wiedzieliśmy właśnie, czy jest odnowionym domem, czy też postawionym na nowo. Chociaż jakaś dziwna romantyczna atmosfera rozwijała się wokół budynku, niecodzienna?, nawet nie wiem z jakiego powodu, sprawiła, że skierowaliśmy tam swoje kroki. Dostałam mini-apartamencik składający się niby z jednego pokoju, ale z zawijasami i kącikami, a także wygodną łazienką oraz balkonem – z widokiem na Giewont. Byłam przeszczęśliwa. Zawołaliśmy taksówkę, by wrócić na dworzec po narty i bagaże. Kiedy jako tako się rozlokowałam postanowiłam wziąć prysznic, przeważnie tak robię po przyjeździe, a potem planowałam lekką drzemkę. W łazience znajdowała się duża wanna, bidet, przedwojenny kran i ni stąd ni zowąd nowoczesna kabina, takie poplątanie stylów, i uwaga, drzwi z mosiężną klamką, co sprawiało wrażenie solidności. Ze spokojem więc rozebrałam się i weszłam pod natrysk, zawsze też wtedy myję głowę. Kiedy zakręciłam kran i zdjęłam ręcznik ze stojaka, nagle usłyszałam czyjeś kroki za ścianą. Ze strachu zaczęło mi serce walić, nie wiedziałam co mam robić, nie było jeszcze wtedy komórek, telefon został w

pokoju. Nie miałam wyjścia, tkwienie w tej sytuacji wydawało się beznadziejne, wzięłam się więc na odwagę i z impetem otworzyłam drzwi, gotowa na wszystko. A tu na zewnątrz niespodzianka, mój pokój był pusty. Zaczęłam wszystko dokładnie przeglądać, zajrzałam do kątów, szafy, biurka, potem wyjrzałam na balkon, otworzyłam drzwi zewnętrzne i wysunęłam głowę na korytarz. Ale nikogo nie było. Nie było nawet żadnych śladów na śniegu pod balkonem, bo dokładnie obejrzałam to miejsce, z pierwszego piętra wszystko było widać. W końcu ze spokojem znowu się rozebrałam, decydując się na dokończenie kąpieli, zwłaszcza chodziło mi o włosy, których mycie wtedy przerwałam. Ale gdy tylko odkręciłam kran, ktoś znowu zaczął chodzić po pokoju. Przerażona, choć już trochę mniej, bardziej zdumiona, ponownie wyszłam z łazienki, usiłując ustalić co się dzieje, ale pokój mój stał pusty, tak jak wtedy, to samo było z korytarzem, balkonem i jego otoczeniem. Zadzwoeniłam więc do A., pytając, czy ma ochotę wypić ze mną herbatę na dole, a potem może poszlibyśmy się gdzieś przejść, wołałam nie wtajemniczać go w swoje przeżycia, znając jego materialistyczny światopogląd. W kawiarni, która serwowała także dania ciepłe zjedliśmy jakiś obiad, a potem wyszliśmy na miasto. Krupówki o tej porze zaczynały się zaludniać. A. wniebowzięty rozwijającym się kapitalizmem w Polsce, a właściwie jego efektami ubocznymi w postaci masy powstających knajp od razu coś wypatrzył w celu skonsumowania deseru. Chyba to była jakaś francuska cukiernia, bo to był czas, gdy w Zakopanem można było zjeść wszystko, oprócz góralskich przysmaków, które uznano za spadek po "komunizmie", a tego każdy się wtedy chciał pozbyć. Tak więc znikwały, jak grzyby po grzybobraniu, różne harnasiowe gospody, a w ich miejsce rodziły się jadłodajnie różnych krajów świata, nawet ruskie, naszego wroga kacapa.

A. przeszczęśliwy, że taki ma wybór, uznał, że lepiej zejść niżej, bo tam mogą być jakieś nawet południowoamerykańskie przysmaki. Nie było, wróciliśmy do francuskiej, aby coś już odhaczyć.

Byłam zmęczona, podróżą, aklimatyzacją i spacerem po Krupówkach, tak więc z zaśnięciem po powrocie nie miałam kłopotów. Aż tu w środku nocy budzi mnie coś, nie wiem co. Otwieram oczy... I co widzę. Z okna naprzeciwko wylatuje biała smuga, taka mgiełka, jak filmowy duch, która wpada pod obraz na ścianie, gdzie stoi mój tapczan, który wcześniej się odchyła od niej na wysokość mniej więcej 45 stopni. Ale to nie wszystko, w tym miejscu widzę ogień, jak w kominku. Co ciekawe, nie czuję przerażenia, jestem jak w transie, co prawda przytomna całkiem, ale jednocześnie jakbym śniła. Wiem jednak, że tak nie jest, nie śnię, jestem całkowicie świadoma. To co się dzieje, jest na jawie. I tak leżę spokojnie na tapczanie i obserwuję dalej, ten stan może trwał kilkanaście minut, może dłużej, nie wiem, trudno powiedzieć, tracę poczucie czasu, w końcu obraz opada w kierunku ściany, przyjmując pierwotną pozycję. Nic już się nie dzieje, nie ma ducha, ognia, wszystko wraca do normy, zamykam oczy, nie wiem, kiedy zasypiam.

Na drugi dzień idziemy już na narty, wybieramy się na Kalatówki. Próbuję coś opowiedzieć A., po drodze, ale ten mnie ignoruje, tłumacząc, że coś mi się śniło – na pewno ze zmęczenia. Nie staram się go przekonać, na nartach jesteśmy dość krótko, musimy powoli rozkręcać formę, aby nie mieć zakwasów, bo to potem boli i przeszkadza w szusowaniu. Rozstajemy się po południu, nie idąc już na spacer, każdy idzie do swojego numeru. Trochę czytam, trochę drzemię, w końcu zasypiam – jak kamień, bo to były czasy, gdy tak się działo ze mną, teraz, niestety, mam sen – bywa – że przerywany, nie do pomyślenia wówczas. Tej nocy budzi

mnie co innego – nagły hałas muzyczny jakby z głośnika. Przerażona zrywam się, lecę do radia i w tym momencie wszystko cichnie. Na wszelki wypadek wyciągam wtyczkę z kontaktu. Dzwonię do Z., mojego narzeczonego do Warszawy, który jest bardzo wierzącym i praktykującym katolikiem, i zna na pamięć Biblię. Pomóż, prawie krzyczę do słuchawki, coś tu się dzieje diabolicznego. Pomódl się, radzi. Ale wiesz, że nie potrafię. To zrób to, jak umiesz, panu Bogu obojętne, liczy się intencja. Szukałam potwierdzenia swoich przypuszczeń i proszę Boga o opiekę nade mną, i odsunięcie – demona. Nie bój się, mówi Z., Bóg wygrywa z Szatanem, nie da zrobić ci krzywdy.

*W zainteresowania innymi fragmentami lub całością czytała
proszę o kontakt na
e-mail: barbara.jagas@gmail.com*